

Książka o moim Ojcu



Leszek Kordylewski w Chicago z modelem Księżyca. Fot. A. Kordylewska (także inne zdjęcia kolorowe)

Zadzwoił telefon:

– Nazywam się Leszek Kordylewski.

– Rozmawiam z synem Kazimierza Kordylewskiego, odkrywcy Pyłowych Księżyców Ziemi? – zapytałam. – Jest pan astronomem?

Poszedł inną drogą. Po ukończeniu zoologii na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego Leszek Kordylewski prowadził badania w zakresie biologii komórki, a potem zajął się rozpoznawaniem zasad dziedziczenia mitochondrialnego DNA. W 1981 roku, w grudniu, wyjechał z rodziną (żona Anna Maria też jest biologiem) do USA. Został zatrudniony w Pracowni Mikroskopii Elektronowej Zakładu Medycyny uniwersytetu w Chicago, ale nigdy nie zerwał kontaktów z UJ, gdzie habilitował się w 1986 roku i przyjeżdżał wykładać. Obecnie jako ekspert w zakresie mikroskopii opracowuje ekspertyzy kryminalistyczne dla sądownictwa stanu Illinois. Zna biegle kilka języków. W tym esperanto.

– Ale ja nie chcę mówić o sobie! – urywa zdecydowanie. – Tego lata przyjechałem do Krakowa z myślą o napisaniu książki poświęconej ojcu.

Rok 1903, Poznań, początek

Kazimierz Kordylewski pierwsze gwiazdy na niebie zobaczył w Poznaniu, gdzie się urodził jeszcze pod pruskim zaborem, 11 października 1903 roku. Tak się powinna zaczynać książka o wybitnym astronomie. Od gwiazd na nocnym niebie. Ojciec Kazimierza, Władysław, właściciel firmy Manus, miał przy ulicy Głogowskiej w swojej kamienicy sklep z ekskluzywnym obuwem sprowadzanym z Włoch i Francji.

– Już nie ma sklepu, dom został zburzony w czasie drugiej wojny. W rodzinnym archiwum zachowało się zdjęcie z pogrzebu babci Franciszki. Kondukt pogrzebowy został sfotografowany na tle domu i sklepu Kordylewskich. Wie pani, co w Poznaniu pozostało po naszej rodzinie? Grobowiec na cmentarzu Górczyńskim. Na jego płycie stoi Chrystus odlany w metalu, kopia Thorvaldsena. Niemcy w czasie wojny grabili również cmentarze, ale tej rzeźby nie ruszyli.

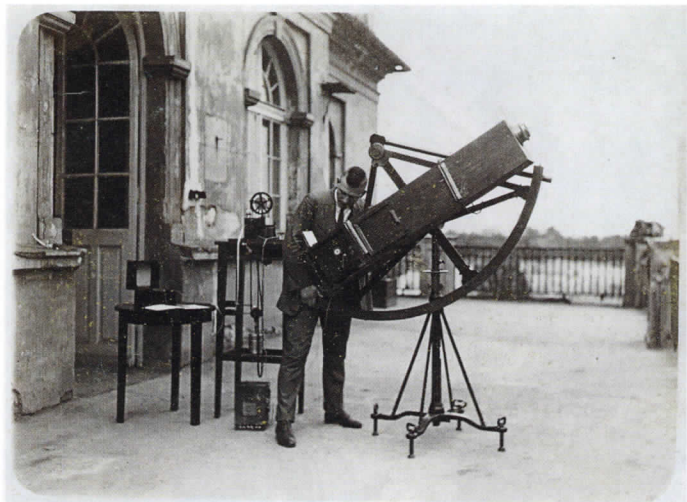
Kazimierz Kordylewski jako dziesięcioletni chłopak zaczął się interesować astronomią i tak zostało. W 1922 roku z odznaczeniem zdał maturę w gimnazjum im. św. Marii Magdaleny i rozpoczął studia w Poznaniu. Po dwóch latach pojechał do Krakowa, na Uniwersytet Jagielloński. Katedrą astronomii oraz obserwatorium astronomicznym UJ kierował prof. Tadeusz Banachiewicz, astronom i matematyk, który w kilka miesięcy po odkryciu Plutona, 1 marca 1931 roku, obliczył jego orbitę, co na tamte czasy było wielkim sukcesem. Dzisiaj można o nim powiedzieć: uczonej najwyższej światowej klasy.

„Zakon” Banachiewicza

Profesor Banachiewicz od razu się zorientował, że trafił do niego pasjonat i zaproponował mu, jeszcze studentowi, stanowisko asystenta pomocniczego w obserwatorium astronomicznym przy ulicy Kopernika 27, gdzie mieszkał w apartamencie z widokiem na ogród botaniczny. Asystent wprowadził się do lokalu numer cztery, za ścianą. Były to dwa pokoiki w amfiladzie, wtedy nawet jeszcze nieogrzewane. Ale studenta Kordylewskiego te spartańskie warunki nie odstraszały. Skupił się już wtedy na obserwacji gwiazd zmiennych. W roku ukończenia studiów jako 23-latek dokonał odkrycia nowej

gwiazdy T-Corvi, położonej w konstelacji Kruka. Wkrótce został członkiem Międzynarodowej Unii Astronomicznej.

– Ojciec jako harcerz miał znakomitą orientację przestrzeni. Potrafił jak Heweliusz obserwować niebo gołym okiem. Raz i drugi zauważył, że coś się nie zgadza. Widział gwiazdę, której nie było na mapach. A dlaczego jej nie było? Bo gwiazdy ewidencjonowano, foto-



Prof. K. Kordylewski, zdjęcie z archiwum rodzinnego

grafując niebo, a ta czerwona gwiazda z powodu swojego koloru nie była widoczna na kliszy. Ojciec często powtarzał, że on pracuje „okiem”, a inni „siedzeniem” – komentuje to młodzieńcze odkrycie syn Kazimierza Kordylewskiego.

O serii związanych z obserwacją zaćmienia Słońca naukowych wypraw ojca do Japonii, Szwecji, Włoch, Czechosłowacji, Holandii, Niemiec, Danii nie wspomina (ale zapewne w książce to się znajdzie). Mistrz Banachiewicz współpracownikom te zagraniczne wyjazdy ułatwiał, poza tym niczego nie narzucał, w dyskusji skupiał się na sposobach rozwiązywania problemu i takiego podejścia oczekiwał od innych. W jednym tylko różnili się on oraz jego asystent. Aż doszło do postawienia sprawy „na ostrzu noża”.

– Na studiach ojciec poznał mamę. Pochodziła ze starej krakowskiej rodziny. Mówił do niej: Wisiu, Wisieńko. Jej ojciec, inżynier kolejnictwa, zmarł młodo, na wiele lat przed moim przyjściem na świat. Mama, Jadwiga Pająkówna, była pierwszą kobietą studiującą astronomię na UJ – słyszę.

– Profesor Banachiewicz uważał, że astronomia jest dla dziewcząt za trudna? – pytam.

– Aż tak to nie. Ale jeśli któraś z nich chciała po studiach zostać na uczelni i pracować w obserwatorium, stawiał warunek. Albo nauka, albo rodzina. A zatem o ślubie nie ma mowy. Nie wyszły za mąż ani Rozalia Szafrąncówna, ani pani Szczepanowska, obie znałem. Mojemu ojcu też zakazywał małżeństwa. Jednak on postawił sprawę twardo. Jeśli profesor nie chce żonatego asystenta, to on odchodzi z pracy. I Banachiewicz się ugiął. Rodzice wzięli ślub 29 czerwca 1929 roku w kościele św. Anny w Krakowie. W tym swoim niewielkim mieszkanku ojciec przeprowadził remont, wymurował piec kaflowy, urządził łazienkę. Tam mieszkaliśmy. Profesor Banachiewicz oraz profesor Władysław Szafer, gospodarz otaczającego obserwatorium ogrodu botanicznego, w nas, dzieciach, wzbudzali respekt, a nawet strach. Na ich widok przerywaliśmy najbardziej pasjonujące zabawy – mówi Leszek Kordylewski.

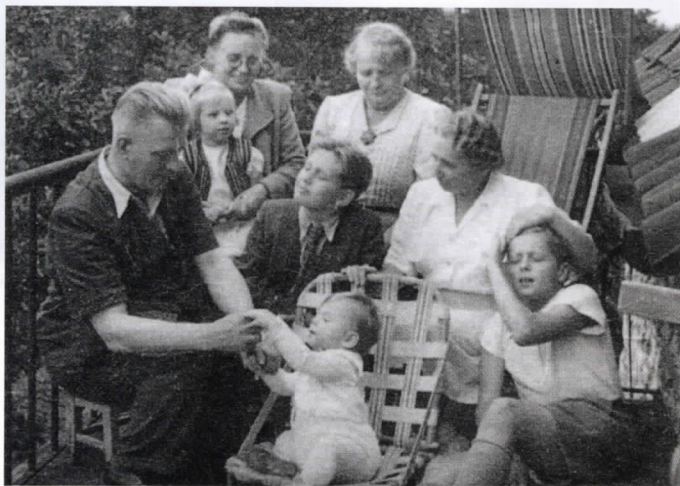
Historyczne astrolabia pod butelkami z winem

Profesor Banachiewicz był autorytetem w świecie naukowym. Stworzył i rozbudował tzw. rachunek krakowianowy, pozwalający uprościć i skrócić obliczenia (komputery to była wtedy jeszcze bardzo odległa przyszłość), a mający zastosowanie w astronomii, geodezji i innych dziedzinach. Rachunek krakowianowy

był określany przez matematyków jako genialnie prosty, co w nauce bywa dużym atutem. W 1927 roku jako pierwszy na świecie Banachiewicz opracował i zastosował nową metodę chronokine-matograficzną do obserwacji zaćmienia Słońca. Kraków odwiedali wówczas astronomowie i matematycy z wielu krajów, w ich gronie byli uczeni niemieccy, o dużej wiedzy fachowej i kulturze osobistej. Ale to któremuś z nich nie przeszkadzało wypatrywać w czasie wizyty, co też cennego w tym krakowskim obserwatorium się znajduje. Po zajęciu Krakowa w 1939 r. Niemcy mogli po to przyjść jak po swoje. Na przykład po unikatowe astrolabia z XV wieku, czyli astronomiczne przyrządy pomiarowe mające zastosowanie w nawigacji, a służące do wyznaczania położenia ciał niebieskich nad horyzontem.

Być może tych historycznych astrolabiów używał Jan Śniadecki, astronom, matematyk, geograf i filozof. To on w 1792 roku założył w Krakowie obserwatorium astronomiczne i stację klimatyczną. We wrześniu 1939 roku profesor Banachiewicz i adiunkt Kazimierz Kordylewski (w 1932 roku uzyskał stopień doktora filozofii w zakresie astronomii) zgadzali się co do tego, że jak tylko Niemcy wkroczą do Krakowa, to ich z obserwatorium wyrzucą oraz wywiozą stąd historyczne astrolabia.

– Ojciec, harcerz, który nigdy nie używał alkoholu, wpadł na pomysł, aby te astrolabia ukryć na terenie obserwatorium. W piwnicy został wykopany dół, na dno złożono odpowiednio zabezpieczone astrolabia, przykryto je warstwą ziemi, potem zostały ułożone butelki z winem i zasypane węglem. Bo jak Niemcy trafią na to miejsce i węgiel usuną, przypuszczał ojciec, to znajdą



wino, które wypiją i już niczego nie będą szukali – relacjonuje mi zdarzenie sprzed prawie ośmiu dekad syn Kazimierza Kordylewskiego.

Prognozy uczonych w stosunku do okupacyjnej rzeczywistości okazały się zbyt ostrożne. Profesor Tadeusz Banachiewicz nie tylko musiał opuścić obserwatorium astronomiczne, ale uwięziony 6 listopada 1939 roku w trakcie *Sonderaktion Krakau* został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Doktor Kordylewski z żoną i dwoma synami, Jurkiem i Zbyszkim, musiał opuścić mieszkanie w obserwatorium.

– W przetrwaniu okupacji pomogła mi „żyłka handlowa”. Geny po dziadku Władysławie Kordylewskim odezwały się w samą porę. Zarabiał na utrzymanie rodziny, handlując nawet okularami przeciwsłonecznymi na nadwiślańskiej plaży. A potem rodzice prowadzili duży sklep z galanterią przy ulicy Starowiślnej, idąc od Rynku po prawej stronie, róg Dietla. Mieszkali kątem stłoczeni u cioci i wujka Poluszyńskich – słyszę.

Aż się prosi, aby w książce znalazły się zdjęcia tych ukrytych pod butelkami z winem astrolabiów (obecnie znajdują się w Collegium Maius) i sklepu przy Starowiślnej.

Mistrz i uczeń

Kiedy wojna się skończyła, profesor Tadeusz Banachiewicz wrócił na Uniwersytet i zamieszkał z żoną w dawnym apartamencie z widokiem na ogród botaniczny, a Kordylewscy zlikwidowali sklep i wprowadzili się z powrotem do swojego mieszkania za ścianą. Było ciasno, wkrótce na świat przyszła dwójka młodszych dzieci, Wanda i Leszek, ale dla astronoma nie ma lepszego mieszkania niż w obserwatorium astronomicznym, czyli w miejscu pracy. Kiedy chmury zakrywały nocne niebo, Kazimierz Kordylewski szybko wracał z tarasu i ogłaszał rodzinie: pochmurno, mogą spać dalej! Przy pogodnym niebie spędzał noce na obserwacji gwiazd i planet.

Wykonał tych obserwacji ponad 50 tysięcy. Jego życie było niemal w całości podporządkowane pracy naukowej.

Ale same tylko obserwacje i wykłady dla studentów UJ oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej, pogadanki radiowe, odczyty, spotkania to byłoby za mało. Opublikował ponad 100 prac naukowych oraz efemerydy (minima gwiazd zmiennych). Ich zestawienie ogłaszał na łamach „Rocznika Obserwatorium Krakowskiego” w latach 1924–78. Z profesorem Banachiewiczem skonstruował aparaturę potrzebną do badań, na przykład astrograf, instrument do fotografowania nieba łączący funkcję aparatu fotograficznego i lunety, radioteleskop i inne. A potem ta aparatura była wytwarzana w Zakładzie Aparatów Naukowych, który powstał jeszcze przed wojną, a od 1948



Astrolabium

roku kierował nim Kordylewski. (w 1951 roku został przejęty przez UJ). Razem z żoną przy Polskim Towarzystwie Astronautycznym uruchomili studio astronomii. Prywatną uczelnię, dzisiaj by można tak to nazwać. Wykładany był tam między innymi rachunek krakowianowy Banachiewicza. Nie dawała nic, prócz wiedzy. Żadnych zawodowych uprawnień. Ale czy wiedza to mało?

– Głęboka relacja mistrz–uczeń między moim ojcem a profesorem Banachiewiczem doczekała się niezwykłego finału. Może od tego zacząć tę książkę? Od opisu dwóch pogrzebów profesora – mówi Leszek Kordylewski.

Listopad 1954 Rakowice, listopad 1955 Skałka

Profesor Tadeusz Banachiewicz zmarł 17 listopada 1954 roku. Został pochowany na cmentarzu Rakowickim. Trumnę złożono do grobowca, gdzie w 1945 roku spoczęła żona Laryssa z domu Solohub, ukraińska poetka i malarka.

– Było zimno, wiał wiatr, już leżał śnieg. Biegałem po alejkach, aby się trochę rozgrzać – słyszę od naocznego świadka tych wydarzeń, który miał wtedy siedem lat. Niby niedużo, ale zauważył, że do grobu została spuszczonej podwójna trumna. W domu usłyszał od ojca, że jest planowana ekshumacja. I przeniesienie jego mistrza profesora Banachiewicza do panteonu wielkich Polaków na Skałce.

Trudno było wtajemniczać dziecko w szczegóły, zapamiętał tylko, że na tej Skałce podobno miejsca nie ma, co ojca bardzo martwiło. Ale kiedy tego samego roku, 19 grudnia, zmarł Ludwik Solski i okazało się, że dla niego na Skałce miejsce się znalazło, Kazimierz Kordylewski podjął działania. Jak to on, z całą mocą. 11 listopada 1955 roku doszło do ekshumacji ciała profesora Banachiewicza.

Leszek z rodzicami znalazł się przy bramie kościoła i klasztoru oo. Paulinów o godzinie siódmej rano. Widział podjeżdżającą furgonetkę, trumnę owiniętą biało-czerwonym sztandarem, która została wniesiona do krypty i złożona w sarkofagu. W kilka dni potem, 20 listopada, ośmioletni Leszek znowu przyszedł na Skałkę, by tym razem uczestniczyć w uroczystościach z udziałem społeczności uniwersyteckiej.

– Cząsy były wiadomo jakie – zaczyna swoją relację z tego drugiego pogrzebu docent Leszek Kordylewski („ojciec był docentem, nie wyżej, ja też jestem docentem”). Na Uniwersytecie zostało powiedziane, że przeniesienie wielkiego uczonego na Skałkę to prywatna inicjatywa docenta Kordylewskiego i nikogo więcej. Ale jak już tak się stało bez wiedzy „oficjalnych czynników”, to wszelkie akcenty religijne są surowo zakazane. Tata zakazy przyjął do wiadomości, po czym zaproszenie na uroczystość ułożył w kształt krzyża i dał do druku w zaprzyjaźnionej drukarni związkowej przy ulicy Mikołajskiej. Cenzor w porę się „nie połapał” i tak poszło...

Też było zimno. Leszek, podobnie jak przed rokiem, zaczął dla rozgrzewki biegać wokół klasztoru. Z powrotem dołączył do rodziców, kiedy do krypty od strony ulicy podszedł niezbyt liczny pochód. Władze uczelni reprezentował prorektor profesor Henryk Niewodniczański, wybitny fizyk. A wtedy, nieoczekiwanie, z klasztoru oo. Paulinów wyszli zakonnicy w procesji i ze śpiewem. Miała być uroczystość świecka, była religijna. W nastroju podniosłym wszyscy weszli do krypty, gdzie niedaleko wejścia, po lewej stronie, stał sarkofag kryjący doczesne szczątki Tadeusza Banachiewicza. Jedyne przedstawiciela nauk ścisłych w gronie pochowanych tu wcześniej pisarzy i artystów. (Nawiasem mówiąc, prace kamieniarskie przy sarkofagu zostały wykonane na koszt Kazimierza Kordylewskiego pod pretekstem remontu centralnego ogrzewania). Profesor Niewodniczański w krótkiej mowie pożegnalnej wyliczył zasługi zmarłego, ale to jeszcze nie był finał tych dwóch pogrzebów.

– Rektor UJ prof. Teodor Marchlewski zdecydował, że za to, co się wydarzyło, a więc za samowolę, docent Kordylewski powinien trafić przed oblicze uczelnianej komisji dyscyplinarnej. I trafił. Kiedy tam się wybierał, powiedział do nas: nic mi nie zrobią!

– I co? Zrobili? – pytam.

– Niby nic takiego, ale już do końca pracy na uczelni ojciec nie był godzien profesury. W roku jego odejścia na emeryturę ktoś sobie nawet o tym przypomniał, ale już było za późno, aby składać papiery, więc do końca życia pozostał tym docentem – słyszę.

Kamień z Księżycy

– Myślę, że gdyby pana ojciec okazał skruczę i ugiął kark, to by tym profesorem został. Ale niech pan zwróci uwagę, co on dalej robił? Pod przykrywką wykładów na temat astronautyki i badań kosmosu wygłaszanych nie gdzie indziej, a w lokalu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, propagował symbole wrogiego mocarstwa! Obok modeli statków kosmicznych dostarczonych z ambasady USA powiewała amerykańska flaga! – mówię, bo do takiego opisu tych wykładów (relacja naocznego świadka) dotarłam.

Uśmiechamy się oboje. On do wspomnień o ojcu, który nie był dyplomatem, mówił prawdę w oczy i nie potrafił zaprzeczać samemu sobie. Ja do całej sytuacji, którą sobie można łatwo wyobrazić. Tu sztyld mówiący o dozgonnej przyjaźni z Krajem Rad, a tu amerykańska flaga.

– W książce o tym braku pokory u pana ojca należy koniecznie napisać! – mówię, a mój rozmówca odpowiada, że jak najbardziej, bo ta cecha charakteru ojca wychodzi też w innych okolicznościach. Na przykład przy okazji wystawy kamienia z Księżycy, co było w Krakowie nie lada wydarzeniem.

A trafił do nas za pośrednictwem amerykańskiego konsulatu. Z tym konsulem oraz z ambasadą USA w Warszawie docent Kordylewski od lat utrzymywał kontakty, śledząc realizację programu kosmicznego. Między Rosjanami a Amerykanami toczyła się rywalizacja, kto pierwszy stanie na Księżycu. Na początku górą byli Rosjanie. Oni wystrzelili pierwszy sputnik, potem poleciał pies Łajka, pierwszym człowiekiem w Kosmosie był Jurij Gagarin, pierwszą kobietą Walentyna Tierszkowa. I stop. Bo 21 lipca 1969 roku jako pierwszy człowiek stanął na Księżycu Amerykanin Neil Armstrong, a zaraz za nim Buzz Aldrin. Z powierzchni srebrnego globu zebrali wtedy prawie 21 kg kamieni oraz pyłu i przywieźli to na Ziemię.

Jeden z takich księżycowych kamieni amerykański konsulat w Krakowie w 1971 roku wypożyczył docentowi Kordylewskiemu, a on postanowił go pokazać mieszkańcom. Wystawa została urządzona w Muzeum Geologicznym przy ulicy Senackiej. Prócz księżycowej skały znalazły się na niej modele statków kosmicznych, mapy, kolorowe plansze i flaga USA. Dostarczone przez Amerykanów. W ówczesnej rzeczywistości to zdarzenie urosło do rangi przekazu z innego świata, zza żelaznej kurtyny. Tłumy chętnych czekały w długiej kolejce. Ale czy w socjalistycznej Polsce, mimo chwilowej „odwilży”, propagowanie osiągnięć wrogiego mocarstwa – pod jego flagą na dodatek – powinno się zdarzyć? Czynniki polityczne w płochu zadecydowały, że wystawa zostanie zamknięta. Jako powód podano zakłócenia w ruchu z powodu oczekujących na wejście osób.

– Ojciec miał takie powiedzenie: „Nie da się? To robimy!”. Wystawę urządził w naszym mieszkaniu przy ulicy Kopernika 27/4. Meble zostały przykryte niebieską tkaniną, na stole, gdzie odrabiał się lekcje i jadło pierogi, stanął kamień z Księżycy. Można go było oglądać – jak podano w komunikatach prasowych – w godzinach od 14 do 18. Tyle tylko że z powodu ograniczeń ze strony władz prawo wejścia na wystawę mieli tylko członkowie Polskiego Towarzystwa Astronautycznego. Ale dla ojca to nie była przeszkoda. Przed wejściem do środka należało wypełnić deklarację, w ten sposób stać się legalnym członkiem Towarzystwa i po kłopotcie! – mówi Leszek Kordylewski.

– Mógł pan dotknąć księżycowej skały? – pytam.

– Nie. Była schowana w przeźroczystym pojemniku.

Pyłowe Księżycy Ziemi

Pyłowe Księżycy Ziemi Kazimierz Kordylewski najpierw zobaczył w swojej wyobraźni. Powinny, założył, znajdować się w punktach libracyjnych (w uproszczeniu taki punkt to jest miejsce w przestrzeni,

w układzie dwóch ciał powiązanych grawitacją, w którym ciało o pomijalnej masie może pozostawać w spoczynku względem ciał układu) orbity Księżyca i obiegać Ziemię w tym samym czasie co Księżyc. Aby swoje przypuszczenie potwierdzić, pojechał Kordylewski do stacji meteorologicznej na Kasprowym Wierchu. Wykonał tam ileś obserwacji. Był 1956 rok. Aż w końcu dostrzegł poświatę w dwóch miejscach orbity Księżyca, w punktach libracyjnych L4 i L5 układu Ziemia-Księżyc. Tam, gdzie przypuszczał, że obłoków można szukać.

– Nie ma na to dowodów! – rozległy się głosy komentujące odkrycie. Bo takich dowodów nie było.

– Z dumą powiem, że przyczyniłem się do ich uzyskania! – słyszę od Leszka Kordylewskiego.

Zaczął się od tego, że 17-latek Leszek poszedł z ojcem na spotkanie z poetą i pisarzem, znanym redaktorem „Przekroju” (a w ostatnich latach życia – „Krakowa”) Ludwikiem Jerzym Kernem. Wtedy akurat Kern drukował w odcinkach reportaże z podróży do Japonii. Jechać do Japonii! Ale jak, jeśli polska złotówka poza krajem nie miała żadnej wartości? Okazało się, że jest sposób. Pisarz podróż odbył polskim statkiem handlowym, płacąc za nią w złotych. Słyszając to, ojciec powiedział do najmłodszego syna:

– W tym roku w Tokio ma się odbyć Światowy Kongres Esperantystów. Ty, Leszku, popłyniesz i wystartujesz tam w konkursie krasomówczym. A nuż otrzymasz nagrodę... Ale twoje zadanie jest też inne. Sprawdzisz nocą, czy na wodach równikowych istnieją dobre warunki do obserwacji. W tym rejonie Pyłowe Księżyce Ziemi powinny być zauważalne.

– I w 1965 roku, w Tokio, pan ten konkurs krasomówczy w języku esperanto wygrał!

– Wywiązałem się też z drugiego zadania. Nocą, gdy płynie się w okolicach równika, ciemność jest smolista. Nie mogłem zobaczyć nawet własnej dłoni wyciągniętej przed siebie. I o to ojcu chodziło.

W rok później zorganizował pierwszą wyprawę astronomów amatorów, członków Polskiego Towarzystwa Astronautycznego, którzy razem z nim obserwowali nocne niebo nad równikiem, szukając poświaty Pyłowych Księżyców Ziemi. Co zobaczyli, w którym miejscu, zaznaczali na mapkach. Na statkach handlowych PLO w 1973 i 1974 roku odbyły się jeszcze dwie następne wyprawy pod wodzą krakowskiego astronoma.

O Pyłowych Księżycach Ziemi odkrytych przez Kazimierza Kordylewskiego stało się głośno najpierw za granicą. W 1964 roku zaobserwował je amerykański astronom J.W. Simpson w wysokogórskim obserwatorium Locksley. W Polsce trzeba było na to poczekać prawie 20 lat, aż na fotografiach wykonanych w Bieszczadach uchwycił ich poświatę astronom dr Maciej Winiarski. Ich istnienie potwierdziły pomiary fotoelektryczne wykonane przez amerykańskie orbitalne obserwatorium słoneczne OSO-6.

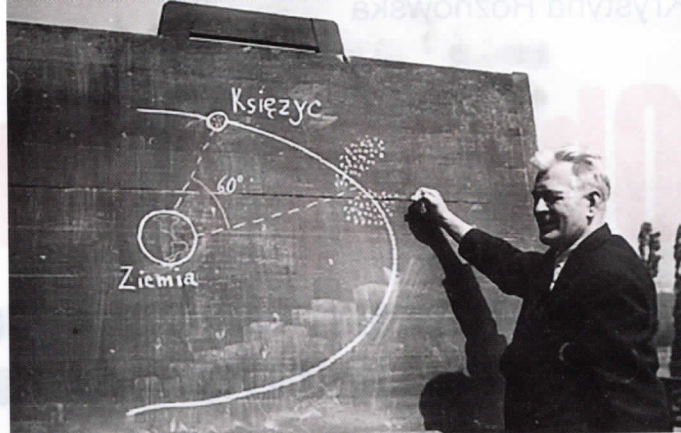
– Ojciec nazwał je Księżycami Polskimi, ale najczęściej mówi się o nich: Księżyce Kordylewskiego.

„Ty śpisz w środku Krakowa”

Najmłodszy syn Kazimierza Kordylewskiego miał kilka lat, może cztery, może pięć, kiedy usłyszał od ojca:

– Ty śpisz w środku Krakowa. Tym środkiem naszego miasta oznaczonym na wszystkich mapach świata i na globusach nie jest ani Rynek, ani Wawel, a miejsce, w którym stoi twoje łóżeczko. Dokładnie nad nim znajduje się instrument służący do wyznaczania współrzędnych geograficznych miasta Krakowa.

I co? Można poczuć się ważną osobą? On tak się poczuł. Nie inaczej było w październiku 1957 roku, kiedy został wystrzelony pierwszy w historii ludzkości sztuczny satelita. Radioamatorzy na całym świecie zaczęli podawać zarejestrowane na ich terenie sygnały radiowe z przelatującego sputnika. Astronom Kazimierz Kordylewski te informacje zebrał i na ich podstawie wyznaczył orbitę sputnika oraz miejsce, skąd został wystrzelony w Kosmos, co wtedy było



... a tu znajdziemy Księżyce Pyłowe...

ściśle chronioną tajemnicą. I jeszcze wyliczył dzień i godzinę przelotu radzieckiego sputnika nad Krakowem.

– Miałem wtedy 10 lat. Rodzice obudzili mnie przed czwartą nad ranem, abym uczestniczył w historycznej chwili obserwacji na krakowskim niebie tego niezwykłego obiektu. Na górnym tarasie obserwatorium przy ulicy Kopernika zebrali się astronomowie i dziennikarze, każdy z nich postarał się wcześniej o sprzęt optyczny, aby widzieć lepiej. Ja spoglądałem na ciemne niebo nieuzbrojonym okiem. Wcześniej rodzice surowo przykazali, że mam się nie odzywać i nie przeszkadzać. A więc wszyscy stoją i wypatrują bez skutku, a ja nagle widzę, że jedna z gwiazd zmienia intensywność świecenia, pulsuje, nawet się przesuwają. Nie wytrzymałem. Powiedziałem cicho do mamy: – Ta gwiazda się rusza! Skierowano w jej stronę lunety. Miałem rację. To był sputnik lecący nad naszym miastem – opowiada Leszek Kordylewski i jeszcze tego wątku nie kończy.

To dlatego, że w sierpniu 2007 roku znalazł się w Centrum NASA w Houston w Teksasie zaproszony na obchody 50. rocznicy umieszczenia na orbicie ziemskiej pierwszego sztucznego satelity. Opowiedział o tym, jak nieoczekiwanie jako pierwszy wypatrzył przelatujący nad Krakowem radziecki sputnik. Jego opowieści słuchał inny gość tych uroczystości, profesor Siergiej Chruszczow z Uniwersytetu Browna w Providence, syn Nikity Chruszczowa, tego, który 50 lat temu był przywódcą Związku Radzieckiego.

– Polski astronom obliczył orbitę naszego sputnika? Wskazał miejsce, skąd został wystrzelony? – Był zaskoczony, jak też to było możliwe.

Namiet na tle fortu Skąta na Bielanych

W 1974 roku docent Kazimierz Kordylewski przeszedł na emeryturę. Nadal był czynny, jeszcze tego samego roku popłynął na statku handlowym do Afryki równikowej obserwować w sprzyjających warunkach Pyłowe Księżyce Ziemi. I stało się coś smutnego, nieprawdopodobnego. Pewnego dnia, kiedy wszedł do obserwatorium (od 1964 roku usytuowanego w nowym miejscu, w forcie Skąta na Bielanych) zobaczył, że na korytarzu znalazły się jego książki, segregatory z zapisami, inne rzeczy i biurko. Następca sobie go tu nie życzył. To co on zrobił? Ano przyniósł namiot i rozbił go na zewnątrz. Poradził sobie w tylu trudnych życiowych sytuacjach, to teraz miałby opuścić głowę?

– Mam zdjęcie ojca na tle tego namiotu – mówi jego syn.

Gwiazdy Wielkiego Wozu

Kazimierz Kordylewski zmarł 11 marca 1981 roku tak, jak żył. Nagle i szybko. Zasnął w sklepie mięsny przy ulicy Lubicz, czekając na swoją kolejkę przy ladzie. Jest pochowany w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Rakowickim. Zostały na nim wyryte gwiazdy Wielkiego Wozu.

– Zależy mi na ideach, aby one nie umarły wraz z tymi, którzy umarli – odpowiada Leszek Kordylewski na moje pytanie, co w tej książce o ojcu powinno być najważniejsze.

Elżbieta Dziwisz

KRAKÓW



MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KRAKÓW

W PRENUMERACIE

Prenumerata „Krakowa” na 2016 rok

W nowym roku zapraszamy do skorzystania z możliwości otrzymywania naszego miesięcznika w prenumeracie pocztowej. Jej cena roczna (za 11 kolejnych numerów pisma, łącznie z kosztami wysyłki) wynosi:

- dla odbiorców mieszkających w kraju: 60 zł
- dla mieszkających za granicą: 190 zł (pocztą priorytetową, dawniej zwana lotniczą) i 150 zł (pocztą zwykłą).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres – na przykład do końca br. – koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi 6 zł w kraju i 15 zł za granicą (pocztą zwykłą).

! Nie zapomnijcie, prosimy, podać adres, pod jaki pismo ma być dostarczane! !

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:

Stowarzyszenie Kulturalno-Naukowe „KRAKÓW”

ul. Mikołajska 2, 31-027 Kraków

ING BANK ŚLĄSKI O/KRAKÓW

83 1050 1445 1000 0022 8507 5566





Jacek Balcewicz

Nowe Balice

Ryanair nie zamierza na razie korzystać z rękawów na Balicach. Oficjalnie tłumaczy to zbyt krótkim czasem postoju, a nieoficjalnie wiadomo, że chodzi o pieniądze, których ten słynący ze skąpstwa przewoźnik nie zamierza za wykorzystanie rękawów płacić.



Jagoda & Jerzy Surdykowski

Egzotyka ze swojskim akcentem

Nagle pojawił się na sąsiedniej górze główny bohater dnia, 45-letni Chito Sangalang, który krzyżowany będzie już po raz piętnasty, czym dopełni złożony ślub, bo niegdyś błagał Niebiosa o zdrowie dla chorej matki.



Maria Malatyńska

Krzysztof Zanussi o filozofii, która posila się anegdotą, i o powadze, która siłę czerpie z humoru

Papież zapytał tych polskich hip-hopowców, po co wy to robicie? Jeśli wam naprawdę chodzi o to, żeby to był najpiękniejszy ruch, najsprawniejszy taniec, to jesteście prawdziwi artyści. A jeśli wam chodzi o sławę, o to, żeby zarobić, żeby zwrócić na siebie uwagę, to jest to sztuka skażona, jak każda sztuka na usługach. I dodał zdanie, którego już w „Osservatore Romano” nie było: nawet w sztuce religijnej to, co jest na zamówienie, nie jest sztuką.

Okladka:

„Średniowiecze da się lubić” – zachęca od kilku lat Muzeum Historyczne m. Krakowa, zapraszając na imprezy rekonstruujące ubiór i dzień powszedni dawnych mieszkańców Krakowa. Więcej zdjęć na str. 50. Fot. Jan Zych

3 Lesław Peters *O mieście – ex cathedra*

6 Jan Widacki

Początek nowego roku akademickiego

7 Mediomani *Tako rzecz rzecznik*

7 Ewa Lipska *Jesiennie*

8 Witryna fotoreporterów

10 Jan Pieszczachowicz

List do Ewy Lipskiej

11 Ewa Lipska *Wiersze*

12 Jacek Balcewicz *Nowe Balice*

15 Jacek Balcewicz

Jak płacić podatki, to tylko w Krakowie

16 Kazimierz Targosz

O prawie w obrazkach. Rozmowa z prof. dr. Ryszardem Markiewiczem

20 Majka Lisińska-Kozioł

O dziewczynce, która postawiła na swoim i wróciła do domu

22 Kazimierz J. Krakowski

Zaradny radny za 158 zł miesięcznie. Rozmowa z Jackiem Balcewiczem

23 Jacek Balcewicz *Andrzej Kulig: nie jestem Magdą Sroką bis*

24 Marek Lucyniusz

Praca bez końca. Rozmowa z prof. Andrzejem Romanowskim o 80-leciu Polskiego Słownika Biograficznego

27 Elżbieta Dziwisz

Książka o moim Ojcu

32 Krystyna Rożnowska *Obrazy z innego świata. Rozmowa z Maciejem Bobrem o twórczości plastycznej pacjentów szpitala psychiatrycznego*

34 Jagoda & Jerzy Surdykowski *Egzotyka ze swojskim akcentem*

41 Jan Zych *Małe, długie i kochane*

42 Józef Dużyk *Parandowski o Capri*

46 Maria Malatyńska

Krzysztof Zanussi o filozofii, która posila się anegdotą, i o powadze, która siłę czerpie z humoru

50 Jan Zych *Średniowiecze w Barbakanie*

52 Ewa Danowska

Towarzystwo Naukowe Krakowskie, poprzednik AU

54 Piotr Hapanowicz

Dawny kościół św. Krzyża na Kleparzu

56 Weronika Śliwiak *Słowianie nie gęsi...*

58 Halina Starostka-Chrzanowska

Walery Wielogłowski, propagator lecznictwa uzdrowskiego

60 Wojciech Machnicki

Nie ma głupich pytań?

62 Piotr Skucha *Przewodnik po krakowskich zabytkowych lokomotywach*

66 Stanisław Ługowski

Rowerem... do Lubocy i Wadowa

68 Agnieszka Stankiewicz-Malatyńska

Taniec fascynujący, wciągający, wyzwalający

70 Anna Stafiej *Świadectwo księgi*

71 Mieczysław Czuma

Albośmy to jacy tacy...

72 Rafał Skąpski

Szczepan Pilecki i Bolesław Skąpski na frontach I wojny światowej

73 Tate, jedziemy do Krakowa!

74 Jan Ostrowski *Praemiando incitat*

75 Teresa Feliks *Krakowskie książki...*

76 Wspomnienie o Jerzym Piekarczyku

77 Zmarł Sylwester Dziki

78 Elżbieta Depta *Mysleć Nowym Jorkiem, a nie grajdołkiem. Rozmowa z Henrykiem Pasiutem*

80 Paweł Głowacki *Podróż na Północ*

81 Krzysztof Lisowski

W głąb czeskiego opowiadania

82 Ewa Kozakiewicz

Uwaga! Pajaki przy wejściu!

84 Agnieszka Barańska

Od Karioki do Luccioli – czyli o rockowych dziewczynach

86 Janusz M. Paluch *Kronika kulturalna*

88 Anna Woźniakowska *Festiwal z duszą*

90 Marek Sołtysik

„I nie będziesz już tym, o kim tu mowa”

93 Katarzyna Grzesiak *Wiersze*

94 Maria Malatyńska *Kamera na Kraków*

96 *Wieści z A-B*

„Kraków” – miesięcznik społeczno-kulturalny
31-027 Kraków, ul. Mikołajska 2, pokój 5;
tel. 12 222 00 14; 661 22 82 82
www.miesiecznikkrakow.pl
redaktor naczelny: Jan Pieszczachowicz
jan.pieszczachowicz@krakow.krakow.pl
zastępca redaktora naczelnego: Jerzy Piekarczyk
jerzy.piekarczyk@krakow.krakow.pl
sekretarz redakcji: Marian Szulc
redakcja@krakow.krakow.pl
kolegium: Jacek Balcewicz, Edward Chudziński, Krzysztof Lisowski,
Jakub Łoginow, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Janusz
Paluch, Lesław Peters, Andrzej Romanowski, Kazimierz Targosz

stale współpracują: Ewa i Grzegorz Kozakiewiczowie, Piotr Koziaż,
Małgorzata Lebeda, Bogna Wernichowska, Elżbieta Wojnarowska,
Anna Woźniakowska, Jan Zych
opracowanie graficzne: Roman Banaszewski
projekt układu typograficznego: Igor Banaszewski
promocja i reklama: Edyta Wiśniowska
edyta.wisniowska@krakow.krakow.pl
wydawca: Stowarzyszenie Kulturalno-Naukowe KRAKÓW
i Śródmiejski Ośrodek Kultury
druk: Top-Druk Łomża, nakład: 3,5 tys. egzemplarzy

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca
Wszystkie prawa zastrzeżone © „Kraków”